

GMO z UJ-otu, czyli megathriller po krakowsku

Nie wiercież, że to klechda czy humbug. Rzecz działa się nie w kraju samurajów pod Fudzi-jamą, lecz u podnóża Wawelu przed półtrzecia roku. UJ otrzymał grant z Funduszy Europejskich na wyhodowanie kłona jakiegoś superprzodka z jego nanoszczątków. Na żądanie Unii bez wahania, naprędce zarządzono quasi-casting. Think tank rozważał ożywienie próchniejącego w Bari truchła Bony Sforzy w holdzie dla – mamma mia (!) – włoskiej kuchni z jej lasagne (lazaniami), panna cottą i cappuccino. Niepodobna było przeoczyć ultraksenofobkę i prahipsterkę Wandę, od zamierzchłych czasów leżakującą w wiślanym mule. Na Facebooku jakiś zhardziały Wielkopolanin lobbował za wskrzeszeniem megagryzoni z Mysiej Wieży w Kruszwicy. Na próżno, straż rektorska dała odpór tym haniebnym mrzonkom. A nużby mysie tête-à-tête z prorektorem skończyło się przykrym déja vu(e). Wybór padł w końcu na Smoka Wawelskiego w nadziei na wzmożenie ekoturystyki. Któż by nie chciał strzelić sobie selfie z takim quasimodo w(e) fiakrze? W Muzeum Narodowym odbył się wernisaż wystawy „W przestrzeni Smoka”. Biotechnolodzy wyposażeni w górniczy strug zheblowali powierzchnię skał Smoczej Jamy w poszukiwaniu podwójnej helisy bestii. Ze skalnych zrzynek i strużek uzyskali DNA i ... otworzyli, chcąc nie chcąc, puszkę Pandory. W czas Wielkiejnocy, w przeddzień rękawki wkradł się znienacka chyżo do laboratorium świeżo upieczony, hoży, acz podstarzały stażysta, pół-Kreol, obecnie hażanin, który przyjechał nie byle tendrzakiem, ale pendolino z Gdyni-Obłęża. Tenże to niewydarzony i z lekka zaburzony eks-Zabużanin w rozchełstany, zszarzałym chałacie i ze zwarzoną miną chytrze przemieszał zawartość wpółotwartych probówek. Poniewczasie okazało się, co ten huncwot w półnegliżu, pseudo-Frankenstein rodem z klubu go-go sprokurował. Ni stąd, ni zowąd, wpośród feerii hiperwyrzutów wykluła się z menzurki półzwierzęca chimera. Tęższa od humbaka, z głową drobno nakrapianej helodermy, grzbietem guźca, buszboka czy suhaka, ogonem warana z Komodo, charme'em żararaki i subtelnością najeżki. Shrek by się nie powstydził. Z powodu nadwyżki energii ochrzczono hybryda Tauronem. Przerazający dźwięk à la thrash metal, a może thrashcore wydobył się z jego trzewi, aż zatrzęsa się kładka Bernatka, wawelskie rzygacze pospadały na krużganki, zadrżał dzwon Zygmunt, a w hotelach drzeć się zaczęły draperie z chintzu. Po tym głośno brzmiącym entrée ruszył potwór pędem bez GPS-u na łów. Nieopodal kościoła Na Skałce zboczył na most Grunwaldzki w stronę Alei (Alej) Trzech Wieszczów, by dotrzeć do pałacu Pugetów, notabene (nb.) ostoi jerzyków. Miał jednak pecha. Wnet zbrakło w mieście choćby półdziewic, które by nie klęły jak szewc. Tychże psiajucha nie trawił. Od krakowian otrzymał wegański furaż: morzyplą, możylinki, merzyki, storzyszki i storzany, i inne chabazie przyprószone ostrzyżem. Juhasi z Podhala w trzcinowych króbkach przywozili płaskurkę i życicę, reż, zeprzałą pszenicę oraz żyto krzycę. Do menu dorzucono dary mórz: terpużkę wielosmużkę, chryzor, mikiżę, wachę i strzeżki. Lecz niby-Hydrę nadal głód morzył i zbój hejnalistę z wieży mariackiej spożył. I tak nie doczekał dożynek niczym rzeżuchowiec zorzynek, jako że w niespełna rok zabił go krakowski, wysokosiarkowy smog.

Autorką tekstu dyktanda jest dr hab. Mirosława Mycawka.